

DOWCIP RODZI DOWCIP

Z Barbarą Krafftówną
rozmawia Temida Stankiewicz-Podhorecka

Wyjechała Pani do Los Angeles w roku 1983, na zaproszenie nie żyjącego już reżysera Leonidasa Ossetyńskiego, który w swoim studiu teatralnym realizował „Matkę” Witkacego. Panią zaangażował do roli tytułowej. Podobno przed wyjazdem do Ameryki widywano Panią nie inaczej, jak tylko z podręcznikiem do nauki języka angielskiego?

– Spektakl miał być grany w języku angielskim. I tak też było.

– Czyli adresowany był głównie do publiczności amerykańskiej?

– Owszem, choć tamtejsza Polonia także przychodziła. Była to amerykańska prapremiera „Matki”. Spektakl graliśmy w wynajętym budynku teatralnym, w zespole znaleźli się wyjątkowo zawodowi aktorzy; niektórzy z nich byli uczniami Ossetyńskiego.

– Jak Witkacego, niełatwego przecież autora, przyjęła publiczność?

– Fantastycznie!

– A aktorzy?

– Byli nim zafascynowani. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Biegali z książką pod pachą, bo właśnie ukazało się wówczas tłumaczenie „Matki” po angielsku, pióra prof. Geraeoulida. Zresztą wszyscy aktorzy, których poznałam w Ameryce, żywią wielką miłość do teatru, do sztuki, do grania. Jest to zachwyt i oddanie, którego w Polsce chyba nie znamy. A tam pragnienie grania jest niezwykle silne. Proszę sobie wyobrazić, że podczas prób „Matki” niektórzy z wykonawców pytali nie o wysokość honorarium, ale o to, czy nie muszą sami uczestniczyć w kosztach spektaklu.

– Kto sfinansował tę realizację?

– Bardzo zdolna i bardzo zamożna uczennica studia Ossetyńskiego, która w spektaklu zagrała rolę Zofii Plejtus, narzeczonej mego scenicznego syna... Uczniowie Ossetyńskiego dla swego mistrza zrobiliby wszystko. Uwielbiali go.

– Bo też i postać była niezwykle barwna. Legendy przecież opowiadano o nim, jako „porywaczku żon”.

– Był to człowiek o niezwyklej fantazji. Począwszy od wyglądu – chadzał boso, z długą, niczym Wernyhora, brodą i rozwianym włosiem – aż po szokujący chwilami sposób bycia. Miał niesamowite pomysły. Opowiadano mi, że kiedyś urządził pogrzeb gotębia. W asyście swoich uczniów przewodził nago ulica-

mi miasta, by w jakimś parku pogrzebać owego ptaka. Miało to być coś w rodzaju *katharsis*. Młodziem była zachwycona jego burzeniem konwenansów i otwartością na życie. Dla nas brzmi to dość egzotycznie, a nawet cyrkowo, natomiast w tamtych realiach wszystko to nabiera innego zabarwienia. Zresztą, my jesteśmy narodem niezwykle poważnym.

– I pewnie dlatego śpiewała nam Pani: *Uśmiechnij się, jutro będzie lepiej...* Niezapomniana Felicja w filmie „Jak być kochaną”, Zerbabella w sztuce „Parady”, Klara Zachanassian w „Wizycie starszej pani”, ponadto Kabaret Starszych Panów, Pod Egidą... Ale Ossetyński ściągnął Panią aż z Polski do swojej realizacji „Matki” przede wszystkim dlatego, że miała Pani już za sobą sporo ról w sztukach Witkacego i uchodziła za modelową wręcz odtwórczynię żeńskich postaci Witkacowskich. Co tak bardzo fascynuje Panią u Witkacego?

– Jego dramaty są wprost nadzwyczajnym materiałem dla aktorów. Witkacy jest nieograniczony i niepowtarzalny. Mieści się we wszystkich modach, stylach, wypelnia je. To jest najprawdziwsza sztuka, przez największe „S”.

– Jednak sporo reżyserów niewłaściwie korzysta z otwartej stylistyki tych sztuk, uważając pewnie, że metoda udiwnień i beztroski śmiech lepiej oddają ducha Witkacego.

– Ta swoista deformacja, którą proponuje Witkacy, jest organicznie spójna z jego słowem, z jego obrazem. Natomiast brak wyważenia proporcji tych deformacji przez reżysera, który nie „czuje” Witkacego sprawia, iż w efekcie spektakl rozbudowuje się w zupełnie przeciwnym kierunku. Ja ducha Witkacego ujrzałam w Ameryce, w tamtejszym zbiorowisku młodzieżowym, w codzienności ulicy. To jest to, co przewidział Witkacy, zarówno w swojej twórczości malarskiej, jak i literackiej.

Te szaleństwa punków, te zupełnie małe propozycje w modzie, te strzyżenia na koguty, tyse pały, wytatuowane pajęczyny na głowach... Zobaczyłam kiedyś na ulicy w San Francisco śliczną, może 18-letnią dziewczynę, z wygoloną głową na tyso i ogromnym, bajecznie kolorowym tatuażem pajęczyny. Podeszłam i zrobiłam sobie z nią zdjęcie. To, co u Witkacego było takie, wydawałoby się, abstrakcyjne, nagle tam znalazłam w życiu, na ulicy. Taka jest nasza epoka. On był wizjonerem. I charakterystyczne jest to, że doceniony został dopiero wtedy, gdy świat zwariował.



DOWCIP RODZI DOWCIP

◀ – „Matkę” graliście ponad miesiąc, bo na taki termin wynajęty był teatr. Potem aktorzy rozjechali się do swoich zajęć. Jak dalej potoczyły się Pani losy?

– Różnie, nierzadko z przygodami. Przeżyłam, na przykład, napad Murzyna i kradzież. A potem tak mną zawirowało, że wyszłam za mąż.

– Za tego Murzyna?

– Broń Boże! Najpierw, gdy skończyłam grać „Matkę”, na życzenie Polonii przygotowałam własny program i ruszyłam w trasę, do tychże właśnie grup polonijnych.

– Co znalazło się w tym programie?

– Teksty kabaretowe i piosenki, między innymi z Kabaretu Starszych Panów i Pod Egidą. Byłam z tym programem w Nowym Jorku i Chicago. Podróżowałam z młodą amerykańską aktorką. Właśnie wracałyśmy samochodem z Chicago do Los Angeles i zatrzymałyśmy się na noc w motelu. Gdy wchodziliśmy do pokoju, nagle, ni stąd ni zowąd, pojawił się Murzyn, dopadł mnie, wyrwał torebkę i uciekł. Okradł mnie ze wszystkich zarobionych podczas tego tournée pieniędzy. Ale największą dla mnie stratą były notatki, zapiski, jakie robiłam podczas realizacji „Matki”. Ponadto w torbie były także dokumenty, paszport. I z tego powodu miałam wręcz nieprzyjemne kłopoty. Po tych wszystkich przygodach podjęłam następne tournée koncertowe i wtedy poznałam swego przyszłego męża, Arnolda Seidnera. Spotkaliśmy się w Instytucie Międzynarodowym, gdzie był dyrektorem i gdzie ja występowałam. Był człowiekiem niezwykle rozmiłowanym w teatrze, zresztą, swego czasu, sam grywał na scenie. Zaczęliśmy wspólnie przygotowywać program, w którym mąż akompaniował mi na fortepianie i śpiewał. Miał to być program dwujęzyczny. Mieśliśmy sporo planów artystycznych. Niestety, przerwała je nagle śmierć męża, w pół roku po ślubie.

– Pani była wówczas w Polsce.

– Tak, to był 1985 rok. Przyjechałam do Polski i oczekiwałam na męża. Miał tutaj przyjechać. Tymczasem otrzymałam wiadomość, że zmarł nagle na zawał serca. Natychmiast wróciłam do San Francisco, bo tam mieszkaliśmy. No cóż, próbowałam się potem jakoś pozbierać i organizować sobie życie w takich okolicznościach, jakie zafundował mi los. Moje kontakty zawodowe może nie były zbyt intensywne, ale były. Ciągłe coś tam się działo. A to wyreżyserowałam uroczysty koncert, jaki odbył się w Sacramento dla młodzieży nagrodzonej w konkursie „Rok o Polsce”, ogłoszonym przez prezydenta Reagana w szkołach średnich. A to znowu na Wydziale Sławistyki Uniwersytetu Stanford zorganizowano dla studentów przygotowujących się do uczestnictwa w Letnich Kursach Kultury i Języka Polskiego w Krakowie koncert poezji śpiewanej i mówionej, w którym wzięłam udział. A to nagrałam na kasety teksty do nauki języka polskiego – potrzebowano kogoś z prawidłową dykcją...

Tylko że to wszystko, w porównaniu z normalnym, zawodowym funkcjonowaniem aktorów w Polsce, było bardzo sporadyczne.

– Kiedy Pani znajomi i przyjaciele w kraju mówią o Pani, to w tych wypowiedziach zawsze pojawia się określenie: uczynna, otwarta na innych, serdeczna. Podobno w Ameryce pomagała Pani osobom potrzebującym pomocy, pracowała Pani charytatywnie.

– Nie nazwałabym tego pracą charytatywną. Po śmierci męża znalazłam się w bardzo trudnej sytuacji: w obcym kraju i bez środków do życia. Doświadczylam wówczas pomocy od ludzi. Zarówno od Polaków, jak i od moich amerykańskich znajomych, z kręgu przyjaciół mego męża. A zwłaszcza od jednej osoby: samotnej pani, która przyjęła mnie jak siostrę pod swój dach, okazując mi nie tylko pomoc materialną, bo przecież przez prawie trzy lata byłam na jej utrzymaniu, ale i serce. Jest więc chyba sprawą oczywistą, że jak tylko mogłam i potrafiłam, starałam się ofiarować jej swoją pomoc. Po kilku latach, kiedy podreperowałam już swój budżet, zwróciłam dług finansowe. Ale jak zwrócić dług serca? Jest to przecież niewymierne. Najcenniejsza w tym wszystkim – jak myślę – jest świadomość, że po dziś dzień jesteśmy sobie bardzo bliskie, jak rodzone siostry. I to są te wartości, które pomagają w życiu przetrwać najtrudniejsze chwile. Ludzie tam sobie naprawdę pomagają, mimo że na co dzień jest wiele antagonizmów. Mówię o Polonii. Trzeba pamiętać, że w emigranckiej zbiorowości ludzie bardzo różnią się między sobą: czy to z racji uprawianego zawodu, statusu społecznego lub materialnego, czy też z innych powodów. Mieszkając w Polsce, wielu z nich prawdopodobnie nigdy by się nawet ze sobą nie zetknęło, nie mówiąc już o przyjaźniach czy kontaktach towarzyskich. Bo po prostu wzajemnie sobie nie odpowiadają. Tam natomiast są na siebie skazani. I już sam ten fakt rodzi konflikty.

– Po otrzymaniu propozycji stałej współpracy z Teatrem im. Heleny Modrzejewskiej w Los Angeles, którego prezesem i sponsorem jest Hanna hrabina Tyszkiewiczowa, przeniosła się Pani z San Francisco do Los Angeles i znakomicie wyreżyserowała tam „Kram z piosenkami” Schillera.

– Rok pracowałam nad tym przedstawieniem. Długo. A to dlatego, że poza trzema zawodowymi aktorkami – Teresą Watras, Alicją Bobrowską i Elżbietą Jodłowską – resztę tego ogromnego zespołu stanowili amatorzy, którzy na co dzień pracowali w innych zawodach. Tak więc próby mogły się odbywać tylko raz w tygodniu, w niedzielę. Rzeczywiście, spektakl wypadł nadspodziewanie dobrze, ludzie z zespołu bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili.

– Przyjechała Pani do Polski w związku z rolą w serialu telewizyjnym Waldemara Dzikiego „Bank nie z tej ziemi”, a przy okazji pojawiło się całe mnóstwo innych propozycji, jak choćby role w spektaklach Teatru Telewizji, takie jak „Królewska gra” Kohouta w reżyserii Roberta Glińskiego i „Sztuka przekładu” Harwooda w reżyserii Laco Adamika, czy w komedii filmowej Krystyny Krupskiej-Wysockiej „Skutki noszenia kapelusza w maju”, gdzie gra Pani rolę matki (!) Wiesława Michnikowskiego, co przy Pani młodym wyglądzie zakrawa już na dowcip!

– I całe szczęście, że zakrawa na dowcip! Bo jak tu grać komedię bez dowcipu? A w ogóle to dowcip rodzi dowcip.

– We wrześniu powrót do Ameryki?

– Czekam tam na mnie praca z młodzieżą aktorską. Przyjaciele namówili mnie, bym zajęła się nauczaniem aktorstwa. Przyjęłam więc propozycję zajęć ze studentami w Instytucie Filmowym.

– A w przyszłości zamierza Pani założyć tam własne studio aktorskie?

– Takie są plany.

– Mieszka Pani w Los Angeles. Jakie to jest uczucie, kiedy po przebudzeniu, spoglądając w okno, widzi się w niedalekiej odległości, umieszczony na zielonym wzgórzu, najsłynniejszy napis świata: HOLLYWOOD? Bo taki widok rozciąga się przecież z okien Pani mieszkania.

– To bardzo przyjemne uczucie. Podobne do tego, jakie się ma, kiedy mieszka się w Paryżu i za oknem widzi się wieżę Eiffla.

Fot. Elżbieta Łukaszewicz

